



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebora i Spół., kwartal. tal. pr. i sgr. 20.

Z ŻYCIA.

Bywają czasy, w których to już się dobrem staje, że złego niema, i w tem znaczeniu mieliśmy dobre święta Wielkanocne. Były spokojne i zostały po sobie uspokojenie, że te oplakane rzeczy, które wstrząsnęły nami w Boże Narodzenie, to nie żadne rozwarcie się krateru przez ogień zewnątrz idące. Nie wykpiwały namiętności, bo byłby to potok lawy uparciej płynąć chcący; ale rzucano iskrę pożaru na te nędze i ciemnoty, którym każde większe miasto każe się gromadzić w zaułkach swoich. Buchnęły płomieniem, lecz liźnął on tylko stopy naszego społecznego gmachu i zagasił przytłumiony. Bogu dzięki, że tak jest, ale niemniej wszystkie uczciwe ręce powinny podać się sobie, aby nigdy gorzej nie było—aby było lepiej. Trzeba na to pracować i to nie powierzchownie: nieś oświatę, oświatę która podnosi i umoralnia. Nie są całą prawdą słowa Wiktora Hugo, że tyle warto serce, co wart mózg, ale jest w nich prawdy część znaczna, jest w nich prawdy połowa.

Do takiej pracy nad oświatą, zaczynającej się od podstaw, należy *Stowarzyszenie pomocy dla niezamożnej uczącej się młodzieży*, które ze stanu dobrych chęci i szlachetnego zamiaru może nakoniec wejść w życie. Przed kilku laty powstała myśl zorganizowanej w tym kierunku działalności; wypracowano i posłano do ministerium oświaty kilka projektów ustawy, ale żaden programmat zatwierdzonym nie został, ponieważ ministerium przygotowało od siebie ustawę normalną, obowiązującą wszystkie stowarzyszenia podobne. Nakoniec chwila upragniona nadeszła—nadeszła możliwość utworzenia Towarzystwa na podstawie za-

sad przez ustawę normalną wskazanych, i szlachetny promotor znacznej myśli, p. Ignacy Radliński, nauczyciel Gimnazjum V-go, zajął się wieczeniem jej w czyn. Współdziałające z nim kółko ludzi dobrej woli zebrało się dwukrotnie na narady w tym przedmiocie, które doprowadziły do szczęśliwego skutku: podpisano podanie do władzy, objawiające zamiar zawiązania Towarzystwa pomocy dla sześciu Warszawskich gimnazyjów i dwóch progimnazyjów męzkich, dwóch gimnazyjów żeńskich, i skoro tylko zatwierdzenie nadejdzie, Towarzystwo uzna się za zawiązane i zawezwie ogół do łączenia się z nim przez członków, których liczba nie jest przez ustawę ograniczoną, a daj Boże, aby była jaknajwiększą. Członkowie płacą rocznie składki rs. 4; administracya Towarzystwa spoczywać będzie w rękach zarządu, mającego się składać z 10-ciu osób: sześciu wybranych przez członków Towarzystwa, a czterech koniecznych, przedstawiających władzę.

Zatem Towarzystwo przez wybranych swych mandataryszów będzie posiadać zakres działania stosunkowo szeroki—będzie mogło czynić bardzo, bardzo wiele dobrego, i gdy paragraf IV ustawy Towarzystwa przysądza mu prawo dozoru nad postępowaniem młodzieży poza szkołą, daje mu zatem moc wglądania w rzeczy najwyższego w wychowaniu znaczenia, czuwania nad wieloma, wieloma.... Więc też łączą się z Towarzystwem nadzieje, najlepszych obietnic pełne, i przedsięwzięcie to w kierunku myśli obywatelskiej tak jest pożyteczne, tak uczciwe, że chciałoby się uściskać rękę każdego dobrego człowieka, który tu do współdziałania stanie. A pomyślny, że wkupić się można do tego szeregu uczciwych pracowników, za cenę czterech rubli rocznie, więc jednego rubla kwartalnie, dwóch złotych i kilku groszy miesięcznie! Nieżyjąca już dziś poetka, Gabryela Puzynina, napisała kiedyś w piśmie naszym o takiej skarbonce swojej zbiorów dobroczynnych, która pobierała procent pewny od ka-

żdej wybitniejszej chwili, każdego żywszego uniesienia serca: było coś od szczęścia i coś od tęsknoty, opłacał się podatek od wesolej nowiny, od dobrej wróżby, od listu przyjemnego, a tu za trzydzieści dni tej myśli pocieszającej, że się spełnia obowiązek obywatelski, że się podaje rękę młodoci, dzieciństwu bezsilnemu, że się je broni od ciemnoty, upadku, wykrzywienia idei rodzinnej, daje się dwa złote i niespełna półsiodma grosza!....

Zapewne i kobiety będą mogły zaliczyć się między członków Towarzystwa. Gdzie jest młódz niedoroślą, tam kobieta jest nie tylko potrzebna, ale nawet konieczna; że zaś Towarzystwo zamierza rozciągnąć swą działalność i do szkół żeńskich, ma ona prawo domagać się tu współdziałania.

Płock już, za przykładem Warszawy, złożył na ręce gubernatora podanie o towarzystwo miejscowe, a Lublin czyni odpowiednie do tego kroki. Można przypuszczać, że wszystkie szkoły w kraju taką pomoc opiekuńczą od społeczeństwa dostaną. Skoro tylko zapis na członków Towarzystwa będzie otwartym, pismo nasze wiadomi natychmiast czytelników z przypomnieniem, że jest tu coś więcej niż *Res sacra miser*. Przyszłość społeczeństwa, związana z młodzieżą, która stanie po nas do pług pracy obywatelskiej, ta to *Res sacra*, o którą tu chodzi przedewszystkiem.

Pocieszająca wiązka dobrych chęci, zamiarów pocziwych zebrała nam się na tę chwilę właśnie, w której ludzie dzieląc się święconem jajkiem, życzą sobie szczęścia. Słyszałam wśród takich życzeń jedno bardzo piękne i bardzo miło wyrażone: „obys się doczekał pociechy z tego, co kochasz...“, otóż można się łatwo pokochać to w tem, to w owem pragnieniu, które jak wiosenne paki na drzewach, chcą się w tych czasach do życia rozwinać, były tylko pociecha rzeczywiste z nich była! Pomiedzy zamiarami, którym warto dać jakiś kawałek serca, jest synowsko-pobożna myśl mieszkańców Łęczycy, pragnących zachować od zniszczenia ruiny Piastowskiego jeszcze zamku nad Bzu-

ra. Uporządkowana i od zniszczenia zachowana pamiątka historyczna, mogłaby jeszcze lata długie istnieć, jako miła oczom ozdoba okolicy. Ruinie nie dać się w gruz rozsypać, to nietylko przeszłość cześć otoczyć, ale pamięć o niej trwalszą i przytomniejszą nam czynić. A kto wie, jaki poeta może tam kiedy przyjść, siąść na kamieniu i marzyć?

Miejscy obywatele Łęczycy, życzenia swoje, odnoszące się do restauracji ruiny, już poddali ocenie gubernialnego architekta i trzeba się spodziewać, że władza przychyli się do ich chęci. Stary Boruta, który w podziemiach zamczyńska skarbów strzeże, wypłoszonym chyba przez tę restaurację nie zostanie i nic ze swoich bogactw nie utraci, choć każdy z tych, którzy grosz na to przedsięwzięcie wydadzą, niewątpliwie wynagrodzonym zostanie. Prorokują to śmiało, że im Boruta to tu, to tam, niewidzialnie zwrot wydatku z procentem nawet podrzuci. Co się tylko przy dobrej, wesołej, zadowolonej z siebie myśli lepiej, z obfitym plonem zapracuje, co tylko będzie owocem dobrego humoru, uskrzydłonej fantazyi, serca ciepłej w piersi bijącego: to wszystko przyjdzie im od stróżującego runom ducha.

I jeszcze jedna dobra nowina. Nie stało się złemu zadość, a myśli szlachetnej, jeszcze z poza grobu dobroczynnie działać chcące, nie wyrzuciła się krzywda niepotęczona. Majątek s.p. Sierakowskiej, składający się z dóbr: Więclawice, Mysliborzyce w Płockiem, z domów w Warszawie, sreber, klejnotów, oraz gotowizny, z odjęciem tylko 7.850 rs. rocznie na pensje dożywotnie trzynastu osobom, testamentem zapewnione, zapisany został na cele dobroczynne: „na niesienie pomocy cierpiącej ludzkości, jak również podupadłym obywatelom, przez częściowe wypożyczanie na mały procent, rzemieślnikom początkującym i niemogącym sobie dać rady“. Testatorka, z sercem pełnem wiary w uczciwość ludzką, spisała testament niedość jasno i wykonanie celów swoich zostawiła niemal zupełnie dobrej woli wykonawców. Otóż jeden z nich, Karol Lipski, krewny testatorki, testament obalić usiłował. Sprawa o to wytoczona przed Sąd Okręgowy Płocki rozstrzygnęła się szczęśliwie w dniu 30 Marca r. b., odsuwając żądania Lipskich: Karola, Józefa i Ignacego, a przyznając prawomocność testamentowi. Sprawy dobrej bronił pięknem, gorącym słowem adwokat przysięgły, Józef Brzeziński.

Adwokat Lucyan Wrotnowski występował jako obrońca p. Joanny z Rutkowskich Potrykowskiej, nie w celu jednak naruszenia testamentu, lecz tylko dla zawarowania praw swojej klientki, aby, w razie zwaleni testamentu, majątek nie dostał się w całości Lipskim, którzy dowodzili, że p. Joanna Potrykowska, uznając prawność testamentu, zrzekła się temsamem spadku. Potrykowska, siostra rodzona spadkodawczyni, miałaby prawo do $\frac{5}{8}$ spadku, gdy scheda Lipskich, jako braci przyrodnich i ich zstępnych, wynosiłaby tylko $\frac{3}{8}$ takowego. Potrykowska objawiała szlachetnie przez usta swego obrońcy, że w razie niepragnionej wygranej, oddałaby święcie cały swój udział według woli s.p. Sierakowskiej na cele dobroczynne. Publiczność płocka szczęśliwie rozstrzygnięcie sprawy radośnie przyjęła i takim też jest niewątpliwie uczucie ogółu.

A jest jeszcze jedna pocziwa wola ludzka niewykonana. „Gazeta Lubelska“ donosi w korespondencji z osady Czemierniki, jakoby dawni właściciele dóbr Czemiernickich złożyli w Banku Polskim znaczny kapitał, przeznaczony na pomoc lekarską dla mieszkańców dóbr owych, lecz kapitał ten, podobno nieprzynoszący żadnego procentu, leży tam bezowocnie dla obdarowanych i z wielkim dla nich uszczerbkiem, bo nawet najbliższa apteka znajduje się o dwie mile, w Kocku, z którym stałej komunikacji niema, gdyż w razie wiosennego wylewu rzeki Tysmienicy, przewóz promem w Bełżacu ustaje. Godziłoby też zająć się komuś zbadaniem owej sprawy co do niewykonanego legatu, któryby, jak w Czemiernikach sądzą, pozwolił nawet miasteczku na utrzymanie lekarza.

Proboszcz miejscowy, ksiądz Mleczko, pragnie, jak może, złemu zaradzić. Znalazło się jakieś kilka

tyśięcy rubli do rozporządzenia i ma być wzniesioną za nie gospoda ludowa, a obok tejże filia apteki Lubartowskiej. I to pocieszające, bo Brodziński dobrze powiedział:

„Rób każdy w swoim kółku, co każe duch Boży, A całość sama się złoży“....

Ogłoszony został we Lwowie przez Komitet wydawnictwa dzieł ludowych konkurs na dziełko napisane w języku polskim, lub rusińskim. Dziełko poddane konkursowi powinno być nigdzie niedrukowanym, przez treść swoją przeznaczonem dla ludu włościańskiego, lub małomiasteczkowego, objętości od dwóch do trzech arkuszy druku. Pisane ze względu szczególnym na Galicyą Wschodnią, ma zupełną swobodę przedmiotu i może to być pouczająca powiastka, opowiadanie historyczne, lub rzecz z zakresu stosunków społecznych i gospodarskich. Najlepsza praca dostanie 150 zł. reń., druga z rzędu 80 zł. reń., przyczem jednakże komitet wydawniczy zastrzega sobie własność premiowanego dziełka. Inne z nadesłanych, choćby nagrody konkursowej nie dostały, jeżeli zostaną uznane za godne druku, komitet nabywać będzie do wydawnictwa swego, poczynając od 15 zł. reń. honorarium za arkusz druku, lub stosownie do porozumienia się z autorem. Rękopisma konkursowe należy przesyłać pod adresem: Komitet wydawnictwa dzieł ludowych we Lwowie, ulica Sykstuska Nr 33. Termin ostatni jest do 1 Czerwca bieżącego roku. Rękopisma mają być bez podpisu, jednak z dołączeniem zapieczętowanej koperty, noszącej tytuł pracy, oraz nazwisko i adres autora.

Oprócz konkursu wiedeńskiego na uczczenie obrony Wiednia od Turków, który podały wszystkie nasze pisma ze słusznym obruzeniem na Niemców austriackich, pragnących zepchnąć rycerską postać rzeczywistego obrońcy Wiednia, Jana Sobieskiego, na plan ostatni, otworzył się świeżo drugi konkurs międzynarodowy, ogłoszony przez Neapolitańską Akademią Moralnych i Politycznych Umiejętności, w przedmiocie, którym zajmował nas tak jeszcze niedawno pan Wojciech Dzieduszycki. Chodzi tu o Arystotelesa, o krytyczny rozbiór jego etyki. Ścisłszem określeniem zadania jest dowiedzenie, oile trzy etyki noszące na sobie nazwisko Arystotelesa: Etyka Nikomachosa, Etyka Eudemosa i Wielka Etyka, są podrabiane? Jeżeliby autor pracy konkursowej doszedł do przekonania, że tylko pierwsza z wymienionych jest prawdziwą, to należy mu wykazać, czy jest nią w całości, lub tylko częściowo, i czy ją posiadamy w takim porządku, w jakim napisał ją Arystoteles? Prócz tego piszący powinien przedstawić etyczną doktrynę Arystotelesa, nietylko samą w sobie, ale w stosunku do metafizycznej, fizycznej i politycznej doktryny tegoż filozofa i ze względu na rozwój greckich pojęć etycznych przed Arystotelesem.

Autorowie wszystkich narodowości mogą stać do konkursu: i dla tego rękopisma mogą być pisane nietylko powłosku, pofrancuzku i niemiecku, ale i połacimie. Piszący ponemiecku powinni używać liter łacińskich. Nagroda jest 1.000 franków; akademia premiowaną pracę drukuje i autorowi daje z tego 200 exemplarzy. Zresztą autor posiada wszelkie prawa własności autorskiej, termin nadsyłania rękopism jest do d. 31 Maja 1883 r., adres: „Do Sekretarza Królewskiej Akademii Moralnych i Politycznych Umiejętności, istniejącej przy Uniwersytecie Neapolitańskim.“ Rękopisma bez podpisu powinny być opatrzone w godło, powtórzyć się winne na zapieczętowanej kopercie, w której, jak zwykłe, nazwisko i adres autora zamieścić się należy.

Choć mi to bardzo leży na sercu, abyśmy w europejskim koncercie naukowej, artystycznej, cywilizacyjnej działalności coś znaczili; choćbym była bardzo temu rada, aby ktoś z nas, odświeżając sobie pamięć łaciny Sarbiewskiego, w traktacie nad etyką greckiego filozofa palmę pierwszeństwa otrzymał: zawsze to przecież rzecz rozgrywająca się daleko, za górami, za morzami, a nam tu na miejscu życie niezmierną liczbą konkursów zadaje i każe stawać do tej nagrody, któ-

ra się spełnionym obowiązkiem obywatelskim nazywa. Będziemy mieli wkrótce w Warszawie, przy wystawie koni i zwierząt, częściową wystawę gospodarstwa wiejskiego. Będziemy mieli wystawę już całkowitą gospodarstwa wiejskiego w Mińsku, od 27 Październiku, do 27 Listopada trwającą, w tej zatem porze jesiennej, gdy już po ukończonych sprzętach wszelkiego rodzaju, spicharnie, owocarnie, piwnice gospodyń wiejskich pełne są płodów gospodarczych rozmaitego rodzaju, a z których coś najlepszego i na chlubny pokaz, na dowód pracowitości, przemyślności, gospodarności kobiecej znaleźć się powinno. Wystawa w Mińsku składać się będzie z siedmiu działów: I Rolnictwa, obejmujący próbki nasion zbożowych, olejnych, okopowych, przedziałnych i pastewnych, oraz produkta rolnictwa w postaci różnych wyrobów, jak: kasza, mąka, krochmal, len, konopie, olej i t. dalej; przytem takie okazy uprawy specjalnej, jak chmiel, cykorya. II Okazy hodowli bydła i gospodarstwa mlecznego: mleko, masło, ser, oraz szersć, szczecina, włosie, pióra, puch, wosk, miód i tem dalej. III Narzędzia rolnicze i maszyny z gospodarstwem w ogóle i z hodowlą zwierząt związek mające, a także maszyny od ognia. IV Plany i modele budowli wiejskich, oraz matryały budowlane i przybory do ogrzewania. V Torf. VI Nawozy. VII Przedmioty drobne z zakresu rolnictwa, hodowli zwierząt i gospodarstwa w ogóle.

A pragnęłabym bardzo, aby u nas urządzono jedną jeszcze wystawę: wystawę dzieci, czyli wystawę matek dobrych, nieco przecież odmienną od tej, która obecnie ma miejsce kędyś w Ameryce, a gdzie za niemowlęta najwięcej wążące matki i wychowawczynie nagrody biorą. Wystawa moja, to jest ta, o której marzę, byłaby wielkim examinem, mogącym dowieść, że *Biesiada literacka* napisała nam bajkę wierutną, bo niema na całej przestrzeni naszej ziemi, ani jednej matki takiej, któraby dziecko swoje dręczyła dla zaszczytu poprawnego paplania pofrancuzku, któraby je karała za miłość języka ojczystego. Na tej wystawie marzonej wszystkie matki przedstawiałyby nam, jak się troszczą dla dzieci swoich o dobrą, niepowierzchną naukę mowy rodzinnej, jak nad nią z niemi w domu, poza szkolną nauką pracują, dobre wzory polszczyzny czytać im każą, wypracowania stylowe zadają, ortografię, czystość składni z nigdy niesłabnącą miłosną troskliwością pilnują. Wtedy okazałoby się błędem również, com niegdyś w piśmie krakowskim: *Niewiasta* spotkała: taki nagłówek do artykułu o francuszczyźnie z „Loreley“ Heine'go wzięty, zdaje mi się, że przez Szujskiego:

Jest to smutna historia,
Która wciąż się odnawia,
A komu się przydarzy,
To mu serce zakrwawia.

Tylko że czas bieży, że okoliczności się zmieniają i to, co mogło być niegdyś grzechem powszednim, to już dziś staje się śmiertelnym i nieodpuszczonym.

Wystawa szkiców na pomnik Mickiewicza, urządzona w Krakowie w Sukiennicach, smutnie zawiadła oczekiwania. *Reforma* pisze, że żaden szkic nie odpowiada bezwzględnie warunkom postawionym przez komitet. Jedne są nie do wykonania, drugie niemożliwe do przyjęcia, inne możeby przyjąć można, ale ze zmianami. Większa część tak jest przeciążona mnogością figur ornamentacyjnych, że postać główna: Mickiewicz, schodzi na plan drugi. Nic coby było dziełem wyższego talentu, coby porywało, chwytalo za serce pięknem szlachetnem — nic godnego wieszca, o którym ten kamień przemawiałby do pokoleń przyszłych.

Siemiradzki nadesłał na wystawę Sztuk Pięknych w Berlinie najnowszy swój obraz, noszący datę 1882 roku. Na drodze skalistej, wiodącej do świątyni, siedzi para rzymskich kochanków, którym nubijski wróżbita, handlujący egipskimi wyrobami, czyta przyszłość z ręki. Gorący żar południowego słońca oblewa wszystko: okolicę i postacie, tylko głowa dziewczyny umieszczona jest

w półcieniu. Obraz ten ma, tak wykonaniem, jak charakterystyką, przypominać poprzednie prace Siemiradzkiego: „Taniec wśród mieczów“ i „Wazon czy kobieta?“

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Zaledwie się z miasta wytoczył długi szereg zaprzęgów, bryk, furgonów i konnicy, assistującej chorążemu, a na zamku zapanowało milczenie—już Butrym, niewiedzący o niczem, niecierpliwy, skradał się pod okna Faustysi od strony wałów, spodziewając się od niej znaku jakiegoś.

Zdumiał się wielce, widząc, że wewnątrz wszystkie okna były pozamykane okiennicami.

Ponieważ po wyjeździe księcia wielki rygor, jaki tu panował, natychmiast wolniał i dozór w bramie był tak prawie, jak żaden, a garstka żołnierzy, stojąca tu na straży, spokojnie się na tapczanach wylegała. Damazy nie wahał się śmiało wtargnąć na zamek.

Podwórze wewnętrzne, jeszcze nieoczyszczone, przedstawiało widok podobny do rynku miasteczka po jarmarku. Słoma, siano, połamane łusnie od wozów, drągi, wypróznione maźnice, strzępki i kawałki papierów, wałyły się porozrzucane.—Stróże, którzy mieli dziedzinnie przyprowadzić do porządku, zażywali wypoczynku po kątach. Milczenie panowało wśród prawie opustoszałych murów. Nie było nawet kogo się zapytać i dowiedzieć o Zaborskie. Damazy już wprost kroczył ku drzwiom do nich prowadzącym, gdy niedaleko pokazała się Szurska z głową obwiązaną, w tubluku swym, niosąc garnuszek w rękę. Butrym, na którego ona ciekawie patrzyła, poznał ją, gdyż stara od dawnych czasów wcale się nie zmieniła, ale poznanym być się nie obawiał, bo go widziała małym jeszcze chłopięciem.

Zbliżył się więc ku niej grzecznie i zapytał:—Czy książę chorąży już wyjechał?

Na śmieszne to wistocie pytanie, Szurska tylko ruszeniem ramion odpowiedziała — boć — chyba oczów nie miał, kto je mógł zadać.

— Czy drwisz czy drogi pytasz? — zamruczała — a toż widzisz co się tu dzieje — jakby Litwa popasała. A zkaąd-żeś ty?

— Zdaleka, posłany jestem do księcia.

Niedowierzająco spójrzała nań Szurska.

— Jeśli wolno zapytać — dodał Damazy — kogo książę pan wziął z sobą?

— Jakto, kogo? albo ja policzę jego dwór?

— Mam ja list od brata do pani Zaborskiej — skłamał Damazy — ależ ta nie pojechała pewnie....

— Co? brat sobie ją przypomniał? po tylu latach? — odparła zdziwiona stara. A! to cud. Ale właśnie, że Zaborska, która wcale jechać nie miała, bo ona tam nie była potrzebna — musieli też dla dozoru bielizny się wybrać.

Damazysz omało się nie zdradził, tak go ta wiadomość dotknęła.

— A! to nieszczęście! — zawołał.

— Co za nieszczęście! — odparła Szurska, która już chciała i rozmowy dokończyć i z garnuszkiem do izby pośpieszyć — przecież z Warszawy powrócą.

— A Wolski pojechał też? — zapytał Butrym.

Szurska się wpatrzyła pogardliwie w pytającego.

— Co acanu? i Wolskiego trzeba? — zamruczała — a jakżeby książę się tam obszedł bez niego?

I nie chcąc się już dać badać dłużej, niepatrzając na Damazego nawet, pośpieszyła z garnuszkiem do mieszkania.

Butrym stał długo w miejscu, jak wkuły; dopiero stróże, którzy przyszli robić porządek na dziedzińcu, zmusili go do odwrotu.

Przytomny zawsze i prędki w postanowieniach, Damazy się znalazł tak niespodziewanie temi zmianami pochwyconym, iż na czas jakiś stracił zupełnie władzę nad sobą.

Jak pijany wysunął się z zamku napowrót i — powlókł się ku miasteczku, niedbając o to, że tam na niego czyhano. Teraz gdy i Wolskiego nie stało w Białej, całej tej czeready jego posługaczy, niewyjmując Sępika, nie obawiał się wcale.

Wiedział zresztą, znając tych ludzi, że oni póty tylko krzatali się gorliwie, dopóki czuli nad sobą żelazną rękę, a zostawieni sami, musieli się zaniedbać i opuścić.

Wistocie też tak było, że Sępik już w szynku siedział i zaskoczony odjazdem Wolskiego w sposób dla siebie bardzo przyjemny, myślał, nie o ściganiu Butryma, ale o odzyskaniu swojego skarbu i ucieczce na Węgry.

Butrym czuł się swobodniejszym, ale cóż mu po tem było? Faustysię pochwycono, książę ją wiozł za sobą, a Wolski pilnował w drodze.

Namyślając się co ma począć, Damazy poszedł do Froima z narzekaniem na swój los nieszczęśliwy. Stary żyd ubolewał nad nim, rady mu skutecznej dać nie umiał. Jego zdaniem, nie było innego do czynienia, tylko spokojnie czekać, ażby książę tu powrócił.

Butrymowi zaś wcale inne myśli przychodziły do głowy. Pomimo pewnego podobieństwa rysów między braćmi, Wolski go nie znał więc i poznać nie mógł. Zdawało mu się, że wślad jadąc za książęcym taborem i wypatrując sposobności zobaczenia Faustynki, kto wie? wśród tego tłumu, w zamieszaniu gdzieś, na drodze, w Warszawie, mógłby, nietylko się do niej zbliżyć, ale nocne wymknięcie się umówić. Wszystkie trudności podobnego przedsięwzięcia — znikły mu z oczów, wmawiał sobie, że to było możliwem.

Nie chciał sobie tego wytłómaczyć niecierpliwością własną, która go zaślepiała; był przekonany, że plan osnuty był najrozumniejszym. Nie zważał na to, że matka w podróży córki nie odstępowała, i na sam widok Damazego natychmiast-by zaalarmowała służbę, że on sam siebie zdradzić i jego ktoś mógł wydać. Naostatek nie liczył się i z tem, że gdzie książę chorąży stawał obozem, tam się nikomu obcemu zbliżyć nie dawano.

Gorączka jakaś dusiła go i gnała, aby, bądźco-bądź, za obozem jechał. Gdy się Froimowi do tego przyznał, on minę tak zdziwioną zrobił, iż z niej niedorzeczność swojego projektu mógł Damazy poznać; ale wnet począł jaknajmocniej dowodzić, iż — to, co postanowił, było lepszem.

Odwieść go od tej myśli nie było sposobu. W początku chciał gonić konno; potem zmiarkował, że para koni i wóz łącznie do ucieczki służyć mogły.

Zabrał się więc śpiesznie do sprowadzenia furmanki, którą za miastem trzymał. Froim nie mógł mu już nic, nie sprzeciwiał się, w obawie, aby go więcej jeszcze nie drażnić.

Damazemu z niecierpliwości widzenia Faustysi głowa się zawracała. Robił sobie najrozmaitsze trafny i wypadki. Ponieważ na noc się zbierało trochę przymrozek, postanowił z niego korzystać i książęcy tabor napędzić, wiedząc, że ten się musiał wlec powoli.

Stało się tak, jak sobie zamierzył. Konie swe wierzchowe zostawił pod dozorem znajomego człowieka na stajni, Pawluczka na kozioł wsadził i parą szkap nowo nabytych puścił się z Białej gościńcem na awanturczą swą wyprawę.

Jak to się bardzo często przytrafia, Damazy, dopóki się wybierał, póty mu się wszystko łatwem zdawało; dopiero, gdy się ujrzał na gościńcu o ciemnej nocy, sam, a rozważył, co miał dokonać, postrzegł, że poszalonemu się wybrał, a kuśił się wprost o to, czego nie mógł wykonać.

— Ba! — rzekł w duchu — nie będę mógł dostąpić do niej w drodze: powlokę się za nią do Warszawy, a tam przy wielkim zjeździe, tłumie i nieładzie, jaki tam będzie, trudno, żeby zbyt czujny nadzór był możliwym.

Przez całą noc tak konie męczył Damazy, stając u wszystkich karczemek i dopytując, kędy chorąży z taborem przeciagał. Ślady jego przejazdu były zresztą widoczne, bo poczet Radziwiłłowski, za panem jadący, dokazywał. Na gościńcu, którym, oprócz tego wiele dworów ku Warszawie od Litwy ciągnęło, mimo nocy, życia było wiele. Świeciło się po wszystkich karczmach i zajazdach, gdzieniegdzie nocowały gromadki opóźnionych czeladzi, wozy i t. p. Popasć, ani zajechać nie było gdzie, chyba do włościańskiej chaty.

Ponieważ chorąży pierwszego dnia, popasłszy o mil trzy, do noclegu potem ledwie mil dwie zrobił, lżej jadący Damazy, napędził o świtanie Radziwiłłowski tabór, ale stojące stráže, ani mu się do niego zbliżyć dały.

Musiał na uboczu, u chłopca, jakotako zmęczone szkapę popasć i czekać aż chorąży ruszy, żeby tuż za nim podążać. Zostawiwszy konie z Pawluczkiem i wozem na podwórku chaty, sam próbował pieszo dojść do gospody zajętej przez dwór książęcy; ale zaraz na wstępie, z hardem żołnierstwem się przemówiwszy, dalej już ani kroku nie mógł zrobić. Obcych ludzi tu nie puszczano.

Z księciem szlachty brzeskiej ciągnęło dosyć i gospoda była tak przepełniona, że pośledniejsi na wozach, mimo zimnej pory, po budach, nakrywszy się derami, nocować musieli.

Na pociechę swą, mówił sobie Damazy, że to był dopiero początek podróży: więc się ostrzej trzymano i pilnowano, jak to zwykle bywa, a dalej rygor ten ustać musi.

Podróż księcia szła bardzo wolno, tak, że Butrym mógł, spocząwszy, napędzić tabór i łatwo mu go było wyprzedzić, lecz pożytku z tego nie widział. Gościniec zaś tak zajmowali ludzie i wozy, że, chcąc objechać ich, chyba na pole trzeba było skrócić i wielkie koło uczynić.

Próbował Butrym tego dnia, podjeżdżając pod tabór ów, zawiązać z kimkolwiek rozmowę, zrobić sobie znajomość jaką, lecz buta Radziwiłłowskiej czeladzi nie dopuszczała z lada parą koni wlokącym się szlachcicem zadawać.

Trzeba się więc było dalej tak posuwać z małą nadzieją, aby się trud zdał na co. Zmęczyło to okrutnie Butryma, który naprzemiany, to wyrzucał sobie, że popełnił niedorzeczność, to winał, że tak rozumnie postąpił, obiecując wiele po tej podróży.

Gdy się już ku Pradze zbliżać mieli, trafem przypóźniony, dla podbitego konia, dworzanie Radziwiłła, Szujko, który się u karczemki zatrzymał, dał się Butrymowi skusić na jego wózek, konia za nim przywiązawszy. Damazy, zmienił nazwisko, nazwał się z matki „Pasewicz“, szlachcic z Lidzkiego, i zawiązał z Szujkiem rozmowę. Od niego się dowiedział, że chorąży przez drogę nie bardzo był wesołej myśli, Wolskiego pędzał, a w Warszawie zawczasu nie miał zamówionego domu, tak, że na Pradze musiał się zatrzymać, we dworze hetmana Branickiego. To też chorążego wprowadziło w takie kwaśne usposobienie, iż w komorne do obcego się wprosić musiał, choć miał prawo wniesić się, równie jak hetman, do pałacu Radziwiłłowskiego w mieście. Ale o to do brata musiałby się zgłaszać, a nie chciał właśnie prosić go i wolał obcemu być winnym gościnność.

— Na Pradze stać i codzień do miasta jeździć, nudna rzecz — mówił Szujko. Lecz, gdyby hetman nawet zaprosił brata do siebie, my wszyscy się tam nie pomieścimy i część dworu zostanie na Pradze.

Uradował się Damazy tą wiadomością, bo mu się zdało, że Zaborskie wraz z innymi pewnie na Pradze mieszkać będą, zauważył, że Wolski, jako łowczy, pojedzie do Ujazdowa, doglądać przygotowań polowania, a stráže zbyt pilnej nie będzie. Spodziewał się więc dostać łatwo do Faustysi, i sam też chciał się umieścić na Pradze.

Lecz gdyby i był miał myśl inną, nie przyprowadziłby jej do skutku, tak miasto przepełnione było. Zjazd na inwestyturę wysokich dygnitarzy był ogromny, a żaden z nich bez kilkuset ludzi się nie ruszył. Miasto ledwie na pomieszczenie tych starczyło, którzy mieli się czem opłacić i nastraszyć.

Gdy nad wieczór przybyli na Pragę, a Szujko, pożegnawszy znajomego, poszedł się do swego dworu przyłączyć. Damazy, chcąc jakiegokolwiek sobie znaleźć schronienie, ledwie, dobrze się nachodźwyszy, w nędznym dworku wprosił się do jeszcze nędzniejszego alkierzyka, dla koni nawet nie dostawszy żłobu.

Praga pełną była ludzi, wojska, czeladzi różnej, żydowstwa, wozów z obrokami, zapasami i ciurów a gawiedzi, jaka się zawsze do każdego większego zbiegowiska zlatuje.

Pomimo późnej godziny most dzielący od miasta przepelniony był przejeżdżającymi. Damazy znalazł stolicę, miał tu i ludzi znajomych; lecz gdzie ich było teraz szukać i znaleźć?

Mieszczanin, do którego się wprosił, zwał się Puczek, a był z powołania kowalem, chociaż niezbyt w rzemiośle swem wyćwiczony, ale za to życia stolicy świadomy, jakimis pokątnymi frymarkami się trudził. Od niego więc Damazy ła two się mógł dowiedzieć, co się tu działo.

Puczek opowiadał, że na Stare-Miasto, do Warszawy, prostemu człowiekowi ani się było dobrać. Zjazd był wielki, a mieszczaństwo też warszawskie zabierało się wystąpić bardzo świetnie, czasu inwestytury. Kowal, liczący się po części do niego, opowiadał, że rzemieślnicy regimenta dla parady wystawić mieli.

Mówiono już i o przygotowaniach olbrzymich na Ujazdowie, i Puczek utrzymywał, że tam las umyślnie posadzono, dlatego tylko, aby król w białym polu nie strzelał do lesnego zwierza. Ponieważ, według powieści kowala, tłumy ludzi tam ciągnęły codzień, patrzeć, jak się owe cuda przygotowywały, jakie tam rusztowania wznoszono, zagrody stawiono i t. p., Damazy też myślał zdala się temu nazajutrz przypatrzeć, jeśli by nic innego do roboty nie miał.

Przedewszystkiem jednak, chciał wiedzieć: gdzie się pomieści Faustysia z matką i czy do niej nie będzie mógł dostąpić. Przed Puczkiem opowiedział się Butrym, jako dworzanin przypóźniony Lubomirskiego, miecznika koronnego, do którego nazajutrz miał się niby dowiedzieć.

Następny dzień, po długiej odwilży, szczęściem ściągnął błoto małym przymrozkiem, a blade zimowe niebo, pogodę zapowiadało. Butrym, przyodziawszy się tak, aby ani nazbyt pokaźnie, ni nadto lichy nie wyglądał, puścił się ku wskazanemu dworowi i zabudowaniom hetmana Branickiego.

Tu się z łatwością dowiedział od pozostałej części dworu chorążego, że brat, hetman litewski, z porady czyjejs, a ze względu, iż chorążego narażać sobie więcej nie było politycznym — bo testament groził, zaprosił zaraz przybyłego do pałacu swojego w Warszawie. Przyjął dosyć wdzięcznie wezwanie to księżę chorąży i sam, z pryncypalnym otoczeniem swem, udał się do Warszawy, część jednak znaczną ludzi, zmuszony pozostawić na Pradze.

Szło o to Damazemu, ażeby dostał języka: kto mianowicie księciu towarzyszył i czy Zaborskie do miasta pojechały? co mu się zdawało niepodobieństwem z jednej strony, z drugiej rzeczą prawdopodobną. Chciał i musiał też wiedzieć, gdzie był Wolski.

Wczorajszego znajomego, Szujki, nie dopytał tak łatwo, lecz rygor dworu już się był rozluźnił, ludzie mówili więcej i przystępniejszymi się stali; Damazy natrafił na gadułę starego, który przy lampce miodu całą podróż z Białej mu opisał i wszystkie jej dolegliwości. Napomknawszy Butrym, że pono i kobiety z sobą wiozł księżę, dowiedział się, że Zaborskie zostały na Pradze we dworze Branickiego, z inną czeladzią, że Wolski też tu miał kwaterę, ale posłany do Ujazdowa, pewnie ztamtąd chyba nocą miał powrócić, bo musiał budowania pilnować, nimby zwier i fury nadsięgnęły.

Około południa podszedł Butrym pod wskazany mu dwór Branickiego, który, że nie wysoko podniesione okna miał, spodziewał się, krążąc pod niemi, trafem jakim może zobaczyć Faustysię i dać jej znać o sobie. Gdyby nie matka, ważyłby się być i wejść do niej, lecz matka mogłaby wrza-

wy narobić, a nawet dać go ująć. Strzedz się więc musiał spotkania z nią.

Szczęście tego dnia nie posłużyło mu jakoś, z okien domu wyglądały łyse i w czepkach, stare i młode głowy różne — kobiet widać nie było. Nie mógł nawet z niczego wnieść, po której stronie miał ich szukać. Znużony tem, poszedł na miasto, ale i tu mu się nie lepiej powiodło. Już przez sam prazki most pieszemu człowiekowi tego dnia przejść było wielką sztuką. Konno i z nahajką jakokolwiek między wozy, bydło i owce pędzone na rzeź, landary panów przejeżdżających do miasta, hajduków i kozaków, przebić się było można z biedą. Pieszemu człowiekowi, za posledniego zawsze uważany, był popychany, spędzany; musiał niemal przebojem cisnąć się i, bijąc, a razy odbierając, pracować w pocie czoła; długi czas upłynął nim się znalazł na drugim brzegu. W mieście też nie lepiej było: żołnierze sascy, konnica polska, różne pułki nadworne, dworzany mnóstwo na koniach, powozy — cizba pieszych ciasne zapychały uliczki.

Tu już mróz niewiele pomagał, bo rozmieszane błoto ze śniegiem, nie łatwo mu się ująć dawało. Około zamku i Pałacu Saskiego, szczególnie dużo było żołnierza, obojga autoramentu, powozów i koni. Ruch wszędzie panował wielki, a że przybywali ciągle jeszcze panowie z pocztami, Damazy, wpadłszy w ten tłok i wrzawę, zmiarkował, że nie miał po co się cisnąć do miasta, kędy nikogo znaleźć i z nikim zobaczyć się nie mógł. Ciekawość była zresztą zaspokojona. Miał się już, zniecierpliwiony, potłuczony, obłocony, wycofać, napowrót, przeklinając ochotę swą niewczesną, dostania się do miasta, gdy spostrzegł konno jadącego i walczącego nahajką z falami ściśniętego tłumu, towarzysza swego z Lunewilu, niejakiego Bohuszewicza, przyjaciela od serca, o którym nie wiedział nawet, że także służbę króla Stanisława opuścił, ani co tu mógł robić.

Nie mylił się jednak, gdyż Bohuszewicz tuż z koniem się parł przebojem, a krzyczał na głos, klnąc: — z drogi!

Było mu imię Karol; więc, ani się sam spodział Damazy, jak na niego zawołał: — Karolku!

Ten głowę odwrócił ku niemu, zdumiony, niepostrzegłszy kto go woła, bo się spodziewał konno ujrzeć kogoś — a głos szedł z dołu i od tłumu. Stał, szukając oczyma.

Butrym już przy nim był i rękę na szyi konia położył.

— Co ty tu robisz?

— A ty?

Damazys nie myślał się przyznać do tego, co go po świecie pędzało.

— Szukam sobie służby — rzekł.

— Jam ją już znalazł, śmiejąc się — odparł Bohuszewicz.

— Pilno ci? dokąd jedziesz — posłany czy po własnej woli? — pytał Butrym.

— Nie pilno mi — do roboty nie mam nic — chcesz ze mną — rad ci będę — zawołał Bohuszewicz. Wiszę do czasu przy podkanclerzym Szapieże, ale ten beze mnie dosyć ludzi ma, jam tylko do parady potrzebny. Przy koniu moim się trzymaj: wybieremy się za Krakowską Bramę, a tam i dwór zaraz, w którym ciepłą izbę mamy we dwu, z dobrym towarzyszem.

Ruszyli tedy: Bohuszewicz wywijając nahajką, Butrym konia się trzymając. W bramie o mało że ich nie uduszono, ale Karolek związał się z nahajką naprawo i lewo, tak, że niejednemu się nią dostało i na szerokie błoto wypłynęli znowu, w którym do wyboru mieli między kałużami wodnistymi mi, a zgęstniałymi brudy.

Zeskoczył wreszcie z konia Bohuszewicz i do izby przyjaciela wprowadził. Uściskali się tu dopiero, zarzucając pytaniami.

Karol tęsknił za Lunewilem i przyznał się, że nie po dobrej woli go opuścił, ale musiał ztamtąd precz iść, dla jakiejś przygody, w której niewiasta udział miała.

— Wszyscy my przez te baby giniemy! — dodał w końcu.

Przyznać się do tego nie chciał Damazy, że i on tożsamo jarzmo miał na karku; a Bohuszewicz,

wyrozumiawszy, że mu się jaśniej tłómaczyć nie chce z położenia swojego, na odkrycie tajemnicy nie nastawał.

Wyszły na plac lunewilskie wspomnienia i dobry król, którego obaj kochali.

Nie mógł tego ukryć przed przyjacielem Damazy, iż do brata jeździł, dowiadywać w te strony, kędy obaj młody wiek spędzili; że w Białej był i o chorążego wyprawie do Warszawy wiedział, jako też o sławnych łowach, które się tu przygotowywały.

Bohuszewicz także o chorążym wiedział, gdyż Sapieha trzymał z hełmanem Radziwiłłem i ciągle gościł u niego, wczorajsze też przybycie i zbliżenie się braci do siebie już w mieście wiadaniem było.

Siedzieli tak z godzinę, jeden drugiego badając a w oczy sobie patrząc, gdy Karol, który ludzi znał, a Butryma szczególnie nawyłot, — odezwał się do niego:

— Nie bałamuć — masz coś na sercu — z Lunewilu nie darmoś czmychnął; tutaj nie za służbą się przybłąkałeś. Mów mi prawdę, a że jesteś sam, będzie nas dwu do jednej sprawy, bo ja, swojej żądnej nie mając, do twojej się zaprzęgam.

Pomyślał trochę Damazy, a choć do zwierzania się nie był skłonny, wypowiedział wszystko, co na sercu miał.

— Karolku mój — rzekł — dla miłości, głupiej czy rozumnej, nie wiem, porzuciłem Lunewil, dobiłem się tu i wpadłem w takie błoto, że niewiedzieć, jak z niego samemu się i ją ratować. Dziewczyzna, jak anioł, nieszczęśliwa nad wyraz, w szponach tego starego tyra: muszę życie ważyć a wyrwać mu ją.

Bohuszewicz tak znał chorążego, jak podówczas wszyscy; wiadano, że srogi i okrutny był: przecież o tem, co się w Białej działo — co tam więzienia kryły i jaka samowola panowała — mało kto był uwiadomiony, inni wierzyć nie chcieli.

Musiał szeroko i długo opowiadać Damazy przyjacielowi o wszystkim, nim go przekonał, że nie łatwym było uwolnić nieszczęśliwą dziewczynę z tej niewoli.

Odmalował mu chorążego, jakim był w domu, i Wolskiego, którym się do wszystkiego posługiwał. Naostatek przyszło do tego, że Bohuszewicz się ochotnie ofiarował, jako człowiek obcy i podejrzany być niemogący, dotrzeć na Pragę do dworu hetmana Branickiego i — jeśli się uda, pośredniczyć w stosunku z Zaborską.

— Gdybyś ty się dla mnie chciał poświęcić — dodał Damazy, a starej, która się bieli i gębę sznuruje, pokazał affekt — to-by ci do domu wstęp dało.

— Nie uwierzy — rozśmiał się Bohuszewicz, — bo jakim jest, tom jest, jeszcze młodej dziewczyny wart — a no, zobaczymy jutro, co się tam wyświęci. Przyniosę ci wiadomość do Puczka.

Stanąła tedy umowa, że Karol miał niby przypadkiem do Zaborskich się dostać, a rozumem swym przyczepić się do starej i przyjacielowi posłużyć. Damazy na wszelki wypadek kartkę napisał do Faustysi i zaklął Karola, aby, gdy się zrzeczność nadarzy, oddał ją koniecznie.

— Niechaj przynajmniej wie, że ja aż tu za nią gonię, a imprezy się nie wyrzekam.

Jakkolwiek trudne wziął na siebie posłannictwo Bohuszewicz, uśmiechało mu się ono tem właśnie, iż się zaawanturować dla niego musiał, bo młodemu zawsze to do smaku — byle nie chleb powszedni.

Tak, zdobywszy sprzymierzeńca i dnia nie straciwszy, Damazy napowrót powlókł się na Pragę. Nie chciało mu się już od kowala wyłazić, bo nie spodziewał się na nic pomyslnego trafić — a czekał na Bohuszewicza.

Ten też cały dzień na siebie dał oczekiwać i nad wieczór dopiero konno się przed dworkiem stawił, wywołując Butryma. U kowala nadto było ciasno a ludno, by tu poufnie się rozmówić można: kazał więc zapasową kulbakę na jednego ze swoich koni włożyć Damazy i ruszył ku miastu razem z przyjacielem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z Petöfi'ego „Nocy bez gwiazd.”

Ukojenie.

Kiedy dziecina malenka
Płacząc, maści nocną ciszę,
Matka zaczyna śpiewać, i piosenka
Dziecko do snu ukołysze.
Ach, i mój smutek—jest jak ta dziecina,
Co spać nocami nie może;
Gdy się rozrzewni i płakać zaczyna
Piosnkę za piosnką mu tworzę....

Wspomnienie.

Wspomnienie! tyś jedyny szczątek pozostały
Z okrętu, co się rozbił w nieszczęśliwym biegu;
Wiatr i fale miotają od skały, do skały....
Płyniem przecież w stronę brzegu....

Sława.

Co to jest sława? Tęcza gdzieś wysoko:
Promień, łamiący się o łzawę oko....

Życie i śmierć.

Życie—bój długi dla chwili spokoju,
Śmierć—długi pokój po chwileczce boju.
M. I.

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń, w Marcu 1882 r.

Kollizya karnawału z wiosną.—Nico z psychologii wiedeńskiej. Przeobrażenie Austrii. — Ilu nas tu jest i co nam się należy.— Niemcy a Słowianie. — Niemcy. — Bank krajów.— Konkurs na hymn niemiecki.—Konkurs na felietony. — *Elektra*. — *Cyklop*. — Modrzewjowska.— Konkurs na pomnik obrony Wiednia od Turków.— Kolonie wakacyjne.—Dwie anegdoty.

(?) Mawialiśmy już przez kilka lat, że się coś popsulo w świecie; zima trwała prawie do Czerwca: aż tu naraz tego roku naprawiło się — niewszędzie podobno, ale prawie w całej środkowej Europie. W Madrycie, w Neapolu, w Tyrolu burze i śniegi, a tutaj odrazu, od początku Marca, wiosna, śliczna, prawdziwa, pogodna, zielona. Ale nowy z tem kłopot. Jak we wszystkich wielkich stolicach, tak i tutaj, *postu* niema: przeciwnie, dopiero po srodzie popielcowej, gdy już publiczne, officyalne, nudne, dobroczynne bale ustają, rozpoczynają się w salonach arystokratycznych tańczące rauty, a w salonach bogatszego mieszczaństwa zabawy tańczące, niemniej *kraenzchen* rozmaitszych towarzystw w salach różnych hotelów. Zupełny brak towarzyskich stosunków przez cały rok jest powodem, że z karnawału ludność tutejsza chce zawsze korzystać bodaj w trójnasób: „chce się bawić!”

Bawić się — jestto hasło całego życia, główny rys usposobienia i jedyny cel życia tutejszej ludności, a przedewszystkiem kobiet. Wynika ztąd, że niema ludności bardziej dobroduszej, łatwiejszej, niż wiedeńska. Wszystko z nią można zrobić, byle się bawić mogła, a wszelkie ważne polityczne czy społeczne sprawy są dla niej prawie obojętne, zajmują ją o tyle, o ile dają powód do rozrywki, do hecy, do skandalu, i zajmują tylko tak długo, ile czasu trzeba na przeczytanie dziennika. Ktoby też według namiętnego, zażartego tonu tutejszych dzienników chciał sądzić o głębokości, lub powa-

dze usposobienia ludności wiedeńskiej zupełnie-by się pomylił. Żądza rozrywki jest tu epidemią mającą wszelkie cechy lekkomyślności. Francuz w Niedzielę i na zabawę przepuszcza grosz zarobiony, zbywający; tutaj w karnawał robi się długi, zastawia się, co tylko można, byle się bawić. Ale ta zabawa to nie nasza, nie w domu, nie nawzajem u siebie: a któżby sobie robił jakie zachody, kiedy ideałem Wiedenek jest to, żeby nigdy domem się niezajmować! Czy składkowe zabawy, czy prozono, odbywają się zwykle w hotelu, a jeżeli w domu, to i tak gospodini niczem się nie zajmuje; wszystko załatwia ugodzony restaurator, a tańce prowadzą ugodzeni także tancmajstrzy.

Wczesna wiosna popsula więc szyki taneczne, pozostała niespodziewanie kollizya z drugą epidemią: wycieczek do ulubionych przedmiejskich... restauracyj. W zeszłym roku otwarto letnie widowiska i ogrody zaledwo w połowie Czerwca; tego roku cały już Marzec odbywa się wędrówka ludów na cztery wiatry, żeby w ścisku dobijać się o stołek i płacić drożej niż w mieście za liche jedzenie, fałszywą kawę — ale dobre piwo. Sezon letni otwarty: więc, zamiast siedzieć w restauracych i kawiarniach w mieście, cały Wiedeń wysiaduje za miastem — w domu zaś przez cały rok niema ognia. I trzeba to wyrażenie wziąć dosłownie i symbolicznie. Dosłownie, bo na obiad zaledwo tam coś z łaski kucharka gotuje; co? tego żadna szanująca się choć trochę Wiedenka nie wie; wieczór zawsze za domem, w teatrze czy w knajpie, a w piecach wcale się nie pali. Symbolicznie zaś niema ogniska, żądza zabawy, panująca wszechwładnie, udziela się i dzieciom. Chłopcy muszą się uczyć, ale dziewczęta, prowadzone na wszelkie possy i operetki i do kawiarni od lat dziesięciu, oczywiście o nauce ani myślą, w czterem nastym roku są już pannami, są wesole, zgrabne, zalotne, miłe, ale też puste, czeze, bez żadnego wykształcenia serca i umysłu — byle się bawić. Takie też są potem i kobiety. Niema w Wiedniu zepsucia *publicznego*, paryzkiego, ale zato w domu niema moralności ani pojęcia o pracy, o obowiązku, o zadaniach życia; jedynym zaś patriotyzmem jest przywiązanie do dworu, który daje sposobność do uroczystości, obchodów... do zabawy. Niestosunkowa ilość zbrodni, kradzieży, nadużyć, przekupstw, processów skandalicznych, to są skutki takiego trybu życia i usposobienia. Ta zaś część ludności, która pracuje, wytwarza, to ludność nie miejscowa, niewiedeńska, obca, z całego świata, a dziennych robotników najwięcej Słowian, Czechów, Słowaków, Kroatów....

O nich też nieco pomówić muszę, wybaczą łaskawi czytelnicy, że ich liczbami ponudzę, ale krótko.

Zwracałem już uwagę w listach moich, że odbywa się w Austrii wielki, dziejowy proces przeobrażenia państwa. Wskazywałem już nieraz jego symptomata, wybitne stanowisko Polaków w rządzie, wielkie dźwiganie się Czechów, za skuteczną pomocą i sojuszem Polaków i t. p. Otóż miesiąc ostatni przyniósł dalsze w tej mierze znaki, a tak widome i zrozumiałe, że lepszych i wyraźniejszych być nie może, bo liczby. Ogłoszony został wynik ostatniego spisu ludności w r. 1880 w zestawieniu z wynikiem z r. 1870. I cóż się pokazało, pomimo, że zamiast rubryki *narodowości*, przyjęto podstępnie rubrykę *języka potocznego* — to znaczy, że n. p. Polak, mieszkający między Niemcami, bywał zapisywany pod język niemiecki.

Oto ogólna liczba ludności w Austrii (bez Węgier) wynosi 21,794,231.

Z tej liczby zapisało się lub zapisano jako Niemców w r. 1870 — 7,107,800, w r. 1880 — 8,008,864.

Niemcy przeto w Austrii stanowią mało więcej nad $\frac{1}{3}$ część ludności — reszta, $\frac{2}{3}$, jest prawie cała słowiańska. Zdaje się w tem, że te $\frac{2}{3}$ mają prawo do zupełnego równouprawnienia, do zupełnego narodowego rozwoju, a tamta $\frac{1}{3}$ Niemców nie ma prawa do przewodzenia, do hegemonii, a to tem mniej, gdy znaczna część tej niemieckiej ludności wypiera się zaciekłości germańskiej, uznaje prawa ludności słowiańskiej i posłowie jej, Niemcy, Tyrolczycy, trzymają w parlamencie z Polakami i Czechami. Jest też to rzeczą naturalną, że nareszcie, bodaj w centralnym

razdzie Austrii mają Polacy i Czesi znaczący udział, finansami zarządza Polak, sprawiedliwością Czech. Zażarci Germanie, chciwi zawsze ludzkiej krwi, potu i ziemi, za przykładem Berlina toczą w parlamencie wiedeńskim wojnę na zabój przeciw prawu i przeciw wszystkim, co słowiańskie. W ubiegłym miesiącu właśnie odkryli przyłbicę, wypowiedzieli kilkakrotnie wyraźnie, a raz nawet przez usta renegata z Bukowiny, Tomaszczuka, że tylko oni, Niemcy mają prawo rządzić w Austrii, że im powinno wszystko ulegać. Ale też postawił im zwierciadło ich fanatyzmu i nienawiści przed oczy właśnie Niemiec, ale sprawiedliwy, hr. Hohenwart. Wykazał im, że chcą tylko panować i dla tego egoizmu rasowego wszystko gotowi są zaprzepaścić. Był to dla Słowian wielki tryumf, że Niemcy odprawę taką od Niemca dostali. Polacy zaś odpowiedzieli na pokusy i wędkę, które im Niemcy rzucają; wołają oni bowiem nieraz, że Polakom wszystko przyznają, byle im zato pozwolili pożreć Czechów, Słazaków, Słowaków i t. d. Polacy odrzucili te chytne wędkę, zgodnie z całą historią swoją, która jest jednym ciągiem walk o wolność i prawo i narodowość, oświadczyli, że każdy naród ma równe prawa, że dlatego pójdą zawsze ręką w rękę z ludami słowiańskimi, które o swoją narodowość walczą.

Nie potrzeba udowadniać, że symptomata te mają ogromną doniosłość; wystarcza wskazać je, zapisać, dodając: że jak Galicya ma już szkoły, sądy i urzędy polskie, jak Czesi otrzymali już uniwersytet czeski, tak Słazak, od wieków wynaradawiany, a przecież rdzennie słowiański, w połowie polski, w połowie czeski, otrzyma równouprawnienie. Zapowiedział odpowiednie ustawy minister Prazak, a Słoweńcy również już stają z memoryalami pod względem swoich narodowych potrzeb i uciemnienia, którego dotąd doznają.

Lecz nie trzeba mniemać, żeby się w Austrii przytem działo Niemcom jaka krzywda: bynajmniej; tylko, że wyłączenie panowania raz nazawsze już utracili, a możność wynaradawiania tracą z dniem każdym. Przecież armia, parlament, ministerya centralne używają urzędownie niemieckiego języka i nikt przeciw temu dotąd nie powstaje, byle u siebie w domu mógł każdy narodowość swoją pielęgnować swobodnie. Od czasu zaś, gdy w Galicyi do obcego języka nikt nie zmusza, od tego czasu Polacy uczą się tego obcego języka więcej nierównie, niż dawniej, bo dobrowolnie, bo rozumieją, że *trzeba* się uczyć języka centralnego rządu, a uczyć się *można*, gdy nauka ta nie grozi własnemu językowi i nie wypiera go.

Ale jeszcze trochę liczb. W Galicyi jest taki stosunek ludności: Polacy w roku 1870: 2,443,500; w r. 1880: 3,238,534 (wielki przyrost); Rusini w r. 1870: 2,584,600; w r. 1880: 2,792,667.

Była też i o Rusinów w Marcu batalia w parlamencie. Poseł Hausner wykazał, że Polacy przyznają Rusinom wszelkie prawa, że mają swoje szkoły, wolno im w sądzie swego języka używać; lecz, że partya ś-to-jurska rej wodząca, zdradza, niestety, Rusinów, waśni ich z Polakami, a postowie ich wbrew wszystkim Słowianom trzymają w parlamencie za skrajnymi Niemcami.

Czechów, Morawiaków, Słowaków w r. 1870 było: 4,718,800, r. 1880: 5,180,908; Słoweńców w r. 1870: 1,196,260; w r. 1880: 1,140,304; Serbo-kroatów w r. 1870: 522,400, w r. 1880: 563,615. Tylko Słoweńców ubyło, to znaczy, że ich mylnie zapisywano, że są uciemnieni i zamało jeszcze się dźwignęli. W Styryi przybyło Niemców 4%, w Krainie i Karyntyi stan niezmienny. W Tryeście od lat 34 ludność *włoska* się podwoiła, Niemcy spadli na 4%, a Słoweńcy z 53% na 21%.

W Czechach przez ostatnie 10 lat ubyło Niemców o 44%; lecz w okolice niemieckie Czech Niemcy ciągle napływają, a Czesi z nich wychodzą. Według nateżenia ludności powinni mieć Polacy w Wiedniu 5 razy tylu posłów, ilu teraz mają, a według wysokości podatków $2\frac{1}{2}$ raza tyle. Takie-to prawa wyborcze w konstytucyi Niemcy obmyśli. Ile-to jeszcze trzeba przerabiać!

Wielką klęskę ponieśli Niemcy na polu finansowo-politycznym. Dwa razy wytoczyli w parlamencie proces ministrowi Dunajewskiemu o *bank krajów* (Laenderbank): dwa razy został atak odparty; lecz

ostatecznie dopiero walne zgromadzenie akcyonaryuszów tego banku, odbyte w Marcu, zamurowało usta krzykaczom i hecarzom. Bank ten ma akcyonaryuszów wyłącznie we Francji; przyjechało ich też kilkudziesiąt, w radzie zawiadowczej zaś są Francuzi, Polacy, jeden Morawianin, jeden Czech i Niemcy, ale nie szwiniści. Wykazało sprawozdanie, że ani kapitał, ani fundusz zapasowy banku przez krach paryzki nic nie ucierpiał, że bank robił ogromne interesa kolejowe, przemysłowe, handlowe, państwowe, że klientela jego po jednym roku istnienia jest już bardzo znaczną. Gdy zaś ster banku jest w *polskich* rękach: więc taki wynik, wręcz przeciwny potwarzom przez Niemców szerzonym, był w Wiedniu bardzo ważnym wypadkiem i wielką radością dla wszystkich narodowców, a dla Polaków i chluba. Zpomiedzy krajów austriackich dotąd z banku korzystały najwięcej Czechy, jako kraj przemysłowy, fabryczny, ruchliwy. Galicya otrzymała pożyczkę krajową, koleją transwersalną, jedynie przez ten bank do skutku doprowadzoną, korzysta z obniżenia stopy kredytu spowodowanej przyływem wielkich kapitałów; lecz na wielkie przedsięwzięcia, któreby bank mógł „finansować“ dotąd Galicya, niestety, się nie zdobyła. I poza Austrią oddał już bank wielkie usługi. Czarnogóra otrzymała pożyczkę, Serbią ocalił bank od zupełnej ruiny, która jej groziła na skutek krachu paryzkiego, objął przeprowadzenie pożyczki serbskiej i budowę kolei serbskich z udziałem kapitałów francuzkich.

Jak dalece Niemcy w Austrii tracą równowagę, dali dowód w przedsięwzięciu wysoce komicznym. Oto rozpisali konkurs 100 dukatów na hymn narodowy niemiecki. Nadeszło 1,000 z górą wierszy, ale zdaje się, że narodowego hymnu za pieniądze stworzyć nie można. Uwieńczono jeden wiersz, ale hymnu niema.

Lepiej się już powiodł konkurs na felietony. Trzy z nadesłanych są niezłe, ale szczególnego nie. Są one następujące:

„Ona“. Małżeństwo bezdzietne i zubożnięte dla siebie bierze na wychowanie obcą sierotę. To dziecko wnosi do domu ciepło, a kiedy umiera, pozostawia jej po sobie; dopełnia potem szczęścia małżonków własne ich dziecko.

„Dwie lzy“. Chłopiec w szkole został przy czytaniu Herodota nazwany osłem i zapłakał. Ale przyczyną płaczu i niewagi nie był ten „osioł“, lecz wspomnienie. Czytano ustęp, w którym wojsko wykrzykuje: „morze, morze?“ Słowo to przypomniało mu towarzyszkę, z którą nad morzem się bawił i którą nagłe wezbranie morza porwało. Zamyslił się, utonął we wspomnieniu, a koledzy sądzą, że on nic nie umie i nie uważa.

Najlepszym był może felieton pod tytułem: „W sądzie“.

Staje „felieton“ przed areopagiem sędziów konkursowych, ale na to, żeby ich oskarżyć, a raczej odsądzić od prawa sądenia felietonu, ich, którzy sami nigdy felietonu nie napisali i nie mają warunków na sędziów. Więc przechodzi zgrabnie i dowcipnie literacką biografią sędziów: Laubego, Anzengruber'a i innych, na dowód, że felieton może o nich pisać, ale nie oni o felietonie sądzić.

Inne, jak „Goethe polityk“ i „Baśń jesienna“ są słabe, pierwszy zaś jest plagiatem z francuzkiego. W ogóle z twórczą oryginalnością niemiecką niebardzo dobrze słyhać obecnie. Teatr żyje albo pospół, bez wartości, tuzinkową i lokalną, albo zawsze jednym i tym samym repertoarem. Oryginalne dramata ledwo dwa razy się pojawiają na afiszach i znikają nazawsze. Zdobył się na to teatr nadworny; na drugi po „Antygonie“ wieczór grecki przedstawiono Sofoklesa *Elektrę* i satyrę dramatyczną Eurypidesa *Cyklop*. Teraźniejszy dyrektor Wilbrandt jest filologiem i wydał jeszcze w r. 1866 przekłady *Elektry*, *Edypa*, *Antygony* i *Cyklopa*. Teraz dokonał marzenia swego, przedstawiając dwa z tych utworów. Przekład jest wolny i zmodernizowany, wszelki balast mitologiczny usunięty, żeby *przeciętny* widz wszystko zrozumiał. Chóry są wyuczone, główne ich myśli tylko włożone w usta pojedyńczym osobom z chóru. Było to więc przedstawienie zupełnie innego rodzaju, niż owo „Antygony“, o którym w zeszłym roku pisałem. Nie było ono greckie, ale wygodne dla widza i aktora, a przecież nad niem duch gre-

cki się unosi i jest to szlachetny pokarm dla publiczności. Okropność tragedii: zabójstwo matki przez syna dla pomszczenia ojca, zabójstwo i przez córkę pożądane, — są to motywa i dzieje, które trzeba niesłychaną jasnością deklamacyi, wyrazistością pojęć starożytnych o sprawiedliwości, dla dzisiejszego widza uczynić zrozumiałymi tak, żeby oburzenia i wstrętu niewywołać. Dla aktorów zadanie nader trudne, któremu szczęśliwie jednak podolali.

Osnowa „Cyklopa“ zajmuje się przygodą Odysseusza u Polifema, a tło stanowi Silen i grona satyrów. Jestto parodia; możnaby mniemać, że to libretto do jakiej operetki Offenbacha. Polifem był oczywiście o jednym ruchomem oku na środku czoła. Sztuka ta, mająca 2000 lat, wybornie się udała i podobała. Oba te utwory utrzymują się też stale w repertoarze. Przypomina mi się tu jak zawsze p. Modrzejewska jeszcze w Krakowie marzyła, żeby z amatorami grać „Antygonę“, „Elektrę“ i t. d. Tymczasem gna ją duch artystyczny po lądach i morzach. Przejeżdżała przez Wiedeń, z serdecznymi a świeżymi wspomnieniami dla Warszawy i Krakowa, a po wędrowce zamorskiej ma zamiar przybyć z towarzystwem polskiem do Wiednia. Zamiar taki może liczyć na wielkie powodzenie w roku przyszłym, gdy rocznica obrony Wiednia i odsieczy przez Sobieskiego będzie obchodzoną. Wtedy zdaje się najzjadliwsi Niemcy uprawnienia polskiemu głosowi w Wiedniu nie odmówią.

Na upamiętnienie obrony Wiednia rozpisal rząd, gdyż rada miasta kłóci się i do niczego skłonić nie może, konkurs na pomnik. *Mogą się ubiegać o nagrodę i polscy artyści (z Galicyi).*

Pomnik ma stać, jako pamiątka obrony chrześcijaństwa w kościele katedralnym Św. Szczepana, u ściany tej wieży, z której szczytu Stahremberg obroną kierował. Ma być pomnik budową wysoką, ozdobioną postaciami historycznymi osób, które się odznaczyły; muszą zaś być umieszczeni: Stahremberg, burmistrz Liebenberg, Sorbait, dowódca młodzieży uniwersyteckiej, Kallonich, biskup, cesarz Leopold, kurfürst Karol Lotaryński, księżęta saski i bawarski i — to i jest charakterystycznym! — *król polski Sobieski.*

Rodzaj pomnika ma być mniej-więcej naksztalt pomników w kościołach Ai Frari i S. Giovanni e Paolo w Wenecyi, a w stylu połowy XVII w. Wykonanie ma być pomyślane w doborowym piaskowcu; pomnik bez fundamentu kosztować może najwyżej 50,000 złr. w. a.

Ubiegający się nie-artysty mają nadsyłać rysunki lub modele $\frac{1}{10}$ wielkości naturalnej i przynajmniej dwie z postaci w modelach 50 cen. i model reliefu w $\frac{1}{5}$ wielkości. Termin nadsyłania do 15 Kwietnia 1883 r. Adres: „Canzlei der Künstlergenossenschaft“ z dodaniem „Concurrenz für das Monument in dem S. Stephans Dome“ — motto i w kopercie, z tem motto nazwisko i adres.

Trzy są nagrody za 3 najlepsze projekta: 2000, 1500 i 1000 guldenów. Po rozstrzygnięciu wszystkie projekta będą publicznie wystawione.

Dla informacyi wskazane są artystom dwa dzieła: *Wiens Bedraengniss im J. 1683* w tomie VIII pism wydawanych przez „Wiener Altherthums-Verein“ — i trzeci tom Kronesa: *Handbuch der Geschichte Oestreichs*, str. 658.

Wracając do spraw codziennych, godzi się zapisać, że i tego roku pani Strauss, żona muzyka, urządziła wielki koncert i bazar z udziałem całego świata artystycznego na dochód *kolonij walcycyjnyc* dla ubogich dzieci, które pod jej zarządem i w sąsiedztwie jej willi letniej bardzo pomyślnie, lubo jeszcze na małą skalę, się rozwijają.

Na bruku wiedeńskim rodzi się codziennie mnóstwo dowcipów, które jednak rzadko poza rogatkami miasta dadzą się zrozumieć. Najnowsze są dwa:

1) Spotyka się dwóch nieznanym w wagonie kolei żelaznej. — Ach, jak mi pan kogoś przypominasz! nie mogę sobie tylko przypomnieć. Aha już wiem, Jezusa z obrazu Munkacego, zupełnie tasama twarz. — No proszę pana, to już i inni uważali. Jechałem kiedyś pocztą, a gdy wysiadł na stacyi, naraz konduktor woła na mnie: „Jezus, a siadajże pan...“

2) Na wewnętrznym dziedzińcu pałacu dworskiego wbiegł wół, który się gdzieś urwał i rozbi-

jał się około pomnika. Cesarz zobaczył go z okna i odezwał się do adjutanta, jen. Mondla: Pewny jestem, że Wiedeńczycy zaraz coś o tym wole wymyślą; proszę pana, dowiedz się. Po kilku dniach zapytał cesarz: — No cóż, o wole nic? — Owszem, ale trudno to powtórzyć... — Proszę, śmiało! — Oto mówią, że jest to pierwszy wół, który do dworu wszedł bez protekcyi.

Takich anegdod zawsze tu tysiące obiega ku ogólnej ucieście.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, w Kwietniu 1882 r.

Les Rantzau, nowa sztuka pp. Erkmanna i Chatriana. — Przedstawienie jej i powodzenie w Teatrze Francuzkim. — Nowy Awatar Sary Bernhardtówny. — Małżeństwo w podróży. — Kulisy i miłość. — Owdowienie pani Nilssonowej. — Rouzand i pochlebny list króla szwedzkiego. — Królowa rumuńska i jej prace literackie. — Ulbach w roli literackiego farbiarza. — Dumas. — Szczęśliwy pomysł. — Nowe wydanie jego „Zupełnego Teatru“. — Ciekawe szczegóły o pierwszym przedstawieniu *Damy z kamelią*. — Munkacsy, jego tryumfalne przyjęcie na Węgrzech i drwiny „Figara“, któremu odmówiono zapłaty za reklamę.

Dnia 27 Marca teatr paryzki „de la Comédie Française“ przy ulicy Richelieu'go przedstawił poraz pierwszy nową sztukę pp. Erckmann'a i Chatrian'a, pod tytułem: *Les Rantzau*. Dramat ten, w 4-ach aktach, napisany prozą, jest przeróbką ich powieści, znanej pod tytułem: „Dwaj bracia“, *Les deux frères*.

Ci, którzy lubią szperać w starych szpargałach, utrzymują, że ten dramat, a nawet i powieść, z której wyprowadza on swój początek, mają niezmierne, familijne podobieństwo, ze sztuką nieboszczyka Kotzebuego, pod tymże tytułem; która długi czas bardzo i z wielkim powodzeniem była grana, ongi, w tymże samym teatrze „de la Comédie Française“ i której pewne, efektowe sceny dotąd jeszcze deklamują się, odczasu doczasu, na publicznych konkursach tutejszego konserwatorium. Sztuka Kotzebuego, napisana oryginalnie niemiecku, była wybornie przetłómaczona, przez pp. Weiss'a, Jauffret'a i Patreto i przedstawiona na Francuzkim Teatrze poraz pierwszy, d. 11 Thermidora, VII roku Rzeczypospolitej, to jest w Sierpniu 1799 r. Jak widzieć stare to rzeczy! Wiedzą tu nawet, jacy byli aktorowie, którym powierzone były głównejsze role tej sztuki; byli to: Monvel, Baptiste starszy, Lacave, Michaud i t. d. Sztuka miała powodzenie niezmierne i długo, długo, trzymała się na scenie.

Ale, jesteście w wigilię rozpoczęcia procesu rewindykacyi literackiej — procesu, który ma wytoczyć, znanemu dramaturgowi p. Sardou, mniej znany, Mario Uchard. Mówiąc więc o pokrewieństwie nowej sztuki pp. Erckmann'a i Chatrian'a z komedią Kotzebuego, dodajmy zaraz, że to jest, jak w sprawie p. Sardou'a, podobieństwo pomysłu i sytuacji — a nie jakaś przeróbka, lub naśladowanie szczegółów.

Zwaśnienie i nienawiść pomiędzy braćmi, których dzieli oddawna spór we względzie pieniężnej sprawy, i których ostateczną zgodę sprowadza miłość ich dzieci; to jest syna i córki: oto punkt wyjścia i ostateczne rozwiązanie, komedyi Kotzebuego *Dwaj bracia* i dramatu pp. Erckmann'a i Chatrian'a *Les Rantzau*. Co zaś do układu sztuki, do prowadzenia całej intrygi, do charakteru osób, dwie te sztuki, są zupełnie różne, i powiedzieć można sprawiedliwie, że niema pomiędzy niemi żadnego weale podobieństwa.

Jan i Jakób Rantzau, Alzatezycy rodem, od lat trzydziestu, to jest od śmierci ojca, są nieprzebrąganymi wrogami. Młodszy, Jakób, nie może przebaczyć starszemu bratu, iż ojciec, umierając, przekazał mu testamentem wszelką gotówkę, którą zostawił w spadku, wraz z eksploatacją ogromnych lasów. Bracia przeciw mieszczą obok siebie, co bardziej jeszcze jątrzy i zapala ich nienawiść; bo starszy mieszka w wielkim, rodzinnym domu, a młodszy w skromniejszym obok dworeczku.

Obaj są wdowcami, przy początku dramatu.

starszy ma córkę jedynaczkę, Ludwikę, młodszy — syna, Jerzego. Młodzień, nie idąc w ślady rodziców — kocha się tajemnie. Tajemnica ta nie uszła wzroku i uwagi nienawidzących się ojców i bardziej jeszcze zapala ich gniew straszliwy. Starszy, Jan, człowiek gwałtowny i despotyczny, nawykły do tego, że wszystko musi ustępować mu z drogi, znajduje natychmiast środek do przecięcia tego romansu: wydanie córki za męża, za generalnego leśniczego, niejakiego Lebel'a. To małżeństwo pomoże mu nawet do zgniecenia brata, bo generalny leśniczy, biorąc stronę swego teścia, znajdzie łatwo sposób, powołać do urzędu Jakóba Rantzau, który posiada kilka tartaków w lasach rządowych, i handlarz drzewa znajdzie nie jedną zawadę w swoich interesach.

Na tym więc punkcie zawiązuje się dramat. Jan Rantzau, pomimo surowości, z jaką się niegdyś obchodził ze swą nieboszczką żoną, pomimo gwałtowności swego charakteru, kocha czule i serdecznie swą córkę Ludwikę. W chwili więc kiedy zamysła poświęcić ją zamiarom braterskiej swej zemsty, doświadcza pewnej przykrości i wahania się, nim osobiście oznajmi ten wyrok córce. Znajduje się więc na to uproszony świadek, jeden z sąsiadów, poczciwy i zacny Florenty, któremu ten wiejski Tyberyusz powierza owo przykre poselstwo. Poczciwy Florenty podejmuje się tej sprawy, która mu w gruncie serca jest wstrętna, bo pragnie właśnie pogodzić braci. Ale, ku jego zdziwieniu, Ludwika, wysłuchawszy ojca, odpowiada mu stanowczo i zimno, że za Lebel'a nie pójdzie, a w razie nacisku jakiego do klasztoru wstąpi.

Kiedy poczciwy Florenty wiadomość taką przynosi Janowi, ten wpada we wściekłość, niezręczniego posła wypędza i, zostawszy sammasam z Ludwiką, domaga się gwałtownie innej odpowiedzi: „Śmieję mi teraz odpowiedzieć, mnie, że nie!“ Ale trafia kosa na kamień; Ludwika jest córką swego ojca: a więc spokojnie, ale stanowczo, odpowiada: „Nie!“ Wściekłość i gniew ojca dochodzą do ostateczności; rzuca się gwałtownie na córkę, porywa ją za ramię i w przystępie obłąkania obala na ziemię. Prerażony tym uczynkiem, wybiega z pokoju, wołając: — „Uciekam, bo czuję, że zamordowałbym ją w tej chwili!“

Akt trzeci odbywa się na ulicy, pod mieszkaniem dwóch braci. Jest to godzina wieczorna; widać światła biegające w oknach domu Jana. Po tej straszliwej scenie drugiego aktu, Ludwika się rozchorowała, posłano do doktora do miasta. Niepokoń jest wielki, ale Ludwika radę lekarza odrzuca, lekarstwa brać nie chce i jedno odpowiada tylko: — „że chce umrzeć“. Doktorzy, zakłopotani, szukają przyczyny choroby. — „Ja wam odkryję ową przyczynę — woła na raz wzburzony Florenty — Chcę ją gwałtem wydać za męża; chcę ją rozdzielić z tym, kogo kocha: oto dla czego chce umrzeć!“

Przyciśnięty tem wyznaniem, Jan Rantzau czuje się zwyciężonym, waha się chwilę, podnosi głowę i idzie wprost do drzwi domu Jakóba. Ten ze światłem w ręku idzie drzwi otworzyć i spostrzeżając stojącego w nich brata. „Ty, czego tu chcesz? — zapytuje surowo.“ — „Ludwika kocha Jerzego, przychodzę prosić cię, abys na ich związek zezwolił.“ — „Nigdy.“ — „Ależ ona umrze!“ — „Co mi do tego.“ — „Ty chcesz więc zgubić swojego syna?“ — „Wejź!“ — powiada z powagą Jakób i daje przejście bratu. Ten koniec aktu, tak prosty a tak poruszający, odegrany, prawda, pomistrzowsku, wywołał powszechne i niezmiernie oklaski. I zdawało się, że tu powinna się być zakończyć sztuka; ale autorowie umyślili inaczej.

W czwartym akcie Jakób z kolei nakłada warunki: — Zwrót kapitału, procentów, zwrót sianozęci; słowem, zniszczenie testamentu. Jan, zrezygnowany i nieszukający nic, prócz szczęścia córki, na wszystko się zgadza. Spisują więc tę ślubną intercyzę, podpisują wszyscy; lecz kiedy Ludwika ma podpisać z kolei, Jerzy wyrwa jej pióro i powiada: — „Nie!“ — nic z tego nie będzie, to hańba i wstyd, to jeszcze dzieło menawiści — ja się opieram i nie chcę“. A zwracając się do starych, wypowiada im *verba veritatis*, z takim zapalem i z taką siłą, iż zwyciężeni nakoniec, rzucają się w objęcia i następuje zgoda. Młodzi się żenią,

ale wprzód Jerzy pozbywa się rywala, zwyciężywszy Lebel'a w pojedynku.

Nie jest to dzieło, ani pierwszorzędne, ani genialne, ale jako znaczne i poczciwe, przychodzi wczas, aby przerwać ten rodzaj chorobliwego marzenia, wśród którego społeczność tutejsza się rzuca i męczy. Język nawet przypomina jak-by pisarzy z innej wcale epoki. Admonicje, przestrogi, coś jakby nauki wiejskie; ale, powiadam, wszystko to oddycha wielką zacnością. Sztuka, odegrana z wysokim mistrzostwem, obiecuje długie powodzenie. Ale, nie trzeba jej słyszeć indziej, jeno na tej pierwszej scenie. PP. Got, Coquelini i Worms są to nieporównani wykonawcy; gra ich przeszła nawet chęć i marzenie autorów — pewien jestem i dlatego powiadam, że „Les Rantzau“ *Rancowie*, wystawieni na innej scenie, ani nie zrobią takiego wrażenia, ani nie wydadzą podobnego skutku.

Już w teatrze niema nic więcej, coby nas mogło dłużej zatrzymać; bo o takich płodach literackich, jak nowa sztuka sławnej Ludwiki Michel, przewzanej: *La mère du Picrate*, — o takich płodach, nie może być mowy w mej kronice, bez poprzedniego *za pozwoleniem*: wolę więc przemilczeć; w gruncie rzeczy dramat jest niedorzeczny, i ma tylko wartość brukowego skandalu. Ale, jeżeli teatr, goniąc ostatkami, przed zamknięciem sezonu, nie nam nie daje, coby warte było pióra, dostarcza przecież do naszej kroniki wiadomości, która przychodzi w sam czas, po świeżem ukazaniu się u was jednej z gwiazd tutejszych pierwszej wielkości. Bez wstępnych przygotowań publiczności do tak ważnego wypadku, dowiadujemy się nagle, że sławna panna Sara Bernhardt — złożyła ten próżny tytuł panieństwa i wyszła za męża, za niejakiego Daria czy Damala? — bo trudno jest wiedzieć napewno — który w jej podróźnej trupie zajmował zaszczytne miejsce „kochanka — na scenie“.

A że tu małżeństwo tego rodzaju nie może się obyć bez pewnej legendy, powiadają zatem, że ten p. Damala (bo Daria jestto nazwisko do afiszów), goły, ale utalentowany szlachcic, czując w sobie powołanie do desek teatralnych, zaprezentował się Sarze w Paryżu i wyraził jej postanowienie wstąpienia do jej trupy. Po zdany egzaminie okazało się, że postulant posiadał znakomite przymioty i że się jaknajzupelniej kwalifikował na bohatera wszystkich sztuk repertoaru panny Bernhardtówny. Dziś pokazuje się nawet, że przeszedł wszelkie oczekiwania tej panny, kiedy po krótkim bardzo nowicyacie oddała mu swoją osobę wraz z uzbieranym znacznym kapitałem na rozmaitych scenach i z naprzód przysposobionym synkiem. Kończy więc w tej chwili na tem, od czego powinna była zacząć. Ale te sokoły, jak ich nazywał król Zygmunt August, który się znał na nich jak wiecie, potrzebują pierwej porosnąć w pierze, zaprawić się na mniejszych ptaszkach nim się puszcza na większą zwierzynę.

Kiedy tak Francuzka aktorka wchodzi w małżeńskie śluby, inna artystka z północy przywdziewa wdowie, żałobne szaty. Wskutek ostatniego krachu Bontoux'a i spółki, p. Rouzaud, małżonek znakomitej śpiewaczki p. Nilsson, straciwszy wielkie pieniądze w obrotach giełdowych, życie sobie odebrał. Była to indywidualność bardzo mierna i bez żadnej wybitnej cechy umysłowej. Dziwiono się nawet w chwili kiedy się ten związek kojarzył, dlaczego panna Nilsson tak dziwny uczyniła wybór. Jestto jeden jeszcze dowód, że panieństwo stanowi za wielki ciężar dla słabych bar niewieścich. Jakkolwiekby, nieposzlakowana w swem życiu, ta szwedzka Ofelia była dobrą żoną i jest głęboko straszką wdową. Następny list, który odebrała od króla szwedzkiego, ile przynosi prawdziwej pociechy dla serca biednej artystki, tyle dowodzi wyższości umysłu tego, kto go pisał; kronikarz z prawdziwą radością zapisuje go na swych kartach, aby wśród tylu upadków zaznaczyć i to, co piękne i wzniosłe:

Christiania, 5 Marca 1882 r.

„Kochana pani Nilsson-Rouzaud!“

„Jestem pewien, żeś nie wątpiła ani jedną chwilę, jak serdeczny przyjąłem udział w tej strasznej próbie, która cię dosięgła. Wiadomość

o tem doszła mi zbyt późno z powodu mojej podróży do Christianii, a kiedyś dowiedział się nakoniec o śmierci męża WPani, było już zapóźno, aby telegram posyłać i wolałem czekać aż będę mógł napisać list stosowny do tak wielkiego i naturalnego żalu WPani, nie będąc natrętnym.

„Kochana pani Nilssonowo! Byłem niezmiernie wzruszony, czytając szczegóły tak smutne, które spowodowały wielkie nieszczeście WPani, Bóg sam tylko może ci dać siłę ducha i ciała, do zniesienia tak strasznej próby, i on ci je da, pewien jestem, a ja gorąco pragnę i serdecznie proszę o spokój WPani i o jej przyszłość. Młoda jeszcze i w całej pełni posiadania wielkich artystycznych przymiotów, które ugruntowały i usprawiedliwiają sławę WPani, w pracy znajdziesz pociechę, w natchnieniu siłę, i żałoba, która cię dziś boleśnie dotknęła, będzie mogła posłużyć za łaska Boga do szerszego jeszcze rozwinięcia twojego geniuszu. Będzie mogła WPani długo jeszcze mam tę nadzieję, pozostać tą wielką artystką, która przynosi chlubę swej rodzinnej ziemi. Dlatego-to, nietyle jako król tego kraju, ale więcej jako miłośnik sztuki, a szczególnie jako przyjaciel WPani, nie waham się wyrazić takiego życzenia.

„Tak, proszę liczyć przedewszystkiem na te uczucia z mej strony i proszę uważać mię zawsze jako oddanego jej szczerze

Oskara“.

Piękny ten list bez komentarzy się obejdzie, a „Bluszc“, który tak troskliwie zbiera wszystko, cokolwiek zdaleka czy zblizka obchodzić może *niewiastę*, jestem pewien, że go zaciągnie do swej złotej księgi, bo jak mówiłem, wśród tej szalonej orgii, w której plązują o lepsze, największe, najwstrętniejsze objawy namiętności ludzkich, błogo jest czasem odetchnąć wonią świeżego choćby na śniegach zerwanego kwiatu!

W naszej epoce zamieszania, kiedy obalają wszędzie, na wyscigi, wszelkie zasady, widzimy z drugiej strony niezmierny popęd do oddawania nadzwyczajnych holdów pewnym osobistościom. Malarze, poeci, śpiewacy i w ogólności artyści, cieszą się niezwykłym powodzeniem i wskutek tej mody zażywają kadzidła, a często fortuny. Są, którzy to spożywają skromnie, niewierząc w dosłowne tłumaczenie okrzyków; ale są i tacy, którym to widocznie zwraca głowy i do bzików prowadzi.

Jak widzimy z powyższego listu, królowie nie chcieli pozostać w tyle tej manifestacji, i jedni, jak król Oskar szwedzki, umiemy zachęcić i podnieść wartość prawdziwego talentu pełnem delikatności i uczucia słowem; drudzy, jak nowo ukoronowana na królowę gospodarowa moldawska, sami szukają wawrzynów. Królowa Rumunii uprawia grzędę literacką, a, jak powiadają wtajemniczeni w tę sprawę ludzie, uprawia z prawdziwym talentem. Tłumaczy ona i przyswaja miejscowe legendy, pisze wiersze, a szczególnie redaguje swe myśli i zdania, coś naksztalt książki La Rochefoucault'a. Po ostatnim kongressie Towarzystwa Literackiego Internacjonalnego Ulbach zaproszony był zrzeczenie do odwiedzenia Bukaresztu i w celu jakby konsultacji literackiej. Potrzeba wiedzieć, że królowa pisze pofrancuzku. Z domu jest księżniczką Waldek. Siostra jej wychodzi za Alfreda, królewicza angielskiego: a więc ukoronowana autorka, radaby swoją moralną książeczkę wsunąć do kosa wyprawy siostrzynej. Ulbach miał polecenie, wybielić, jak powiadają Francuzi, text cudzoziemski, dodać do tego przedmowę i kazać drukować. Dzieło jest właśnie pod prassą, wyjdzie bezimiennie, a skoro się ukaze, powiem wam, co zawiera.

Schodząc o jeden stopień z wysokości tronu, na pierwszych wyżynach literatury i sztuki, spotykamy się z dwoma imionami dobrze znanymi czytelnikom naszym: z Alexandrem Dumasem i z Munkacsym. Znakomity pisarz poprzedza malarza.

(Dokończenie nastąpi)

DROBNE LISTKI.

Losy ciekawego istnienia rozegrały się obecnie w Galicyi Wschodniej, w okolicy Kołomyi, w miasteczku Kossowie. Mieszkał w niem, tam urodzony, wychowany, nigdy poza Kołomyję nie wychylający się, garncarz, wyrabiający jak wszyscy garncarze tego rodzaju, proste garnki, dzbany i misy, które jednak ludzie wykształconego smaku poczęli oglądać, podziwiać, a których forma była oryginalną, była dziwnie piękną. Malowidła przy swojej pierwotnej prostocie i naiwności zastanawiały, uderzały wykonaniem, fantazyą, kolorytem: i zaczęto kupować, mówić o tem, wymówiono wyraz: talent i więcej nawet: mówiono o genialności, aż ktoś kupił u kossowskiego garncarza parę glinianych lichtarzy, zawiózł do Paryża, kazał osadzić w bronz i według wzoru paryżkiego zaczęły się ukazywać w pańskich dworach Galicyi brązowe kandelabry na kossowskich glinianych lichtarzach. Jeden z arcyksiążąt austriackich, przebywając w Galicyi, zobaczył je, zapragnął mieć podobne, kupił parę i stało się to ostatecznie dla ich twórcy rozgłosem, sławą, majątkiem, bo wyroby jego poczęły bardzo drożeć i doszły cen majolik włoskich; ludzie poczęli jeździć do Kossowa, oglądać pracownią i mistrza, przyczem przekonano się jednak, że człek jest prosty, niemający najmniejszego pojęcia o pierwszych zasadach rysunku i malowania, a który wzorów żadnych, prócz zwykłych wyrobów garncarskich, przez życie nie widział. Nazywał się Bachmiński, lepił według własnej fantazyi, rysował na glinie gwoździem, kolory napuszczał swoim pomysłem, używając zawsze materyałów najprostszych, potem wypalał to także na swój sposób, dając wyrobom swoim polewę, jasności, przezroczystości tak zadziwiającej, że zasługiwała już na nazwę emalii. Jak do tego doszedł? próżno go wypytywano. Nikt mu nic nie pokazał, nikt mu nie powiedział, że istnieją w kierunku jego pracy przedmioty piękne: przyszło mu to samo ze siebie i na wypytywania odpowiadał stale: „Bih meni to daw...“ Już wtedy rozbudziła się w nim pewna duma i zadowolenie artysty z dzieł swoich; ale sposób tworzenia i kierunku fantazyi nie uległ żadnej zmianie. Za motyw do ornamentacyi jego wyrobów służyły zwykłe kwiaty a szczególnie liście, czasem zwierzę jakieś, ptak, owad. Planu nigdy nie tworzył: brał się do roboty wesoło, zwykle z fajeczką w ustach, i gdy gwoździł swój przykładał do gliny, zamyslał się co zrobić? i rozmawiał głośno z myślą swoją: — Szczęzo to bude? Zaczynał coś i naraz przychodził mu pomysł inny, zwierzątko jakieś, czy ptak przemieniały się w fantastyczny kwiat, który rozwijał gałązki, liście i tworzyły się z tego arabeski, płatały z wdziękiem niezmiernym: naiwnym, prostym a przykuwającym oko.

Uważano, że Bachmińskiego popsula sława, budząc w nim chciwość, którą okazał przez nakładanie coraz to wyższych cen na swoje wyroby. Czy przecież nie można przypuścić, że to była duma artysty, wyrażająca się naiwnym wieśniaczym sposobem? — Co to warto, kiedy ludzie tyle pieniędzy dają zato? — mówił sobie może. Rzecz dziwniejsza, że nie obudziła się w nim nigdy chęć oglądania pięknotworów, o których istnieniu już się musiał teraz dowiedzieć, że nikt się tem nie zajął, aby tak było, choć ludzie dobrej woli nie pominęli nieuważnie tego samorodnego talentu i wiemy, że dyrektor Lwowskiego Muzeum Przemysłowego, p. Ludwik Wierzbicki, w trzecim, to jest najbliższym zeszytce publikacyi: *Wzory przemysłu domowego*, przedsięwziął pomieścić najpiękniejsze

okazy wyrobów Bachmińskiego, który pod względem zaszczytów miał prócz listu pochwalnego, otrzymanego najpierw na Wystawie Lwowskiej, prócz zakupu jego wyrobów do Muzeum, chwilę wyższego tryumfu: na etnograficznej wystawie w Kołomyi cesarz Franciszek Józef wyroby jego oglądał z zajęciem, a potem obdarzył ich twórcę słowami uznania i zachęty.

Bachmiński zatem zaznał rozkoszy chwały i dostatku; używał ich właśnie w całej pełni, gdy niespodziewanie śmierć przysłała zawołać go gdzieindziej. Umarł w końcu zeszłego miesiąca, unosząc ze sobą do grobu tajemnicę swojej przeslicznej polewy, której nie chciał wydać nigdy nikomu. W ostatnich chwilach błagał go o to nadaremnie najbliżsi krewni: nie chciał nie odkryć i odpowiadał uparcie, jak niegdyś wielbicielom swoim: — „Bih meni to daw...“ Czy to był przesąd pobozny, czy natura zazdrosna, która nie chciała podzielić się z nikim owocem natchnienia swego? W każdym razie ciekawe to i niepospolite istnienie takiego człowieka, takiego samorodnego talentu, w którym niektórzy upatrywali aż genialne porywy. Tajemnica ta, tak jak drogocennej polewy — poszła w grób, a wszystko razem tworzy jak-gdyby legendę średniowieczną.

Towarzystwo Krakowskie oświaty ludowej, tworzące się za inicjatywą D-ra Felixa Czesznaka, pod przewodnictwem prezydenta miasta, D-ra Weigla, ukonstytuowało się d. 7 bieżącego miesiąca i w obecności 80 osób przyjęło obowiązujący je statut. Celem towarzystwa jest wspomaganie działania *Macierzy polskiej* przez pośredniczenie między nią a ludem, a to przez zakup jaknajwiększej ilości książek przez *Macierz* wydawanych i rozpowszechnianie ich, oraz innych podobnych książek, między ludem. Przytem Towarzystwo zamierza: zakładać bezpłatne czytelnie, wypożyczalnie książek, biblioteki, oraz wspomagać istniejące; urządzać odczyty po wsiach, miasteczkach i miastach, rozdawać między uczniów szkół ludowych książki sposobem nagrody za pilność w naukach i nagradzać nauczycieli tychże szkół za troskliwość w szerzeniu oświaty. Towarzystwo postanawia wydawanie taniego a mogącego pożytecznie działać pisma dla ludu, treści niepolitycznej, lecz szerzącej oświatę umysłową i zawierającej pewne wiadomości z dziedziny gospodarstwa rolnego, przemysłu i rękodzielnictwa; przytem Towarzystwo pragnie zawiązywać i do życia budzić kółka włoczańskie, pragnie wspomagać działalność prywatną, dążącą do podniesienia oświaty i moralności ludowej: jednym słowem, chce w kierunku podniesienia umysłowości ludu działać i dłoń pomocną wszelkim podobnym usiłowaniom podawać. Członkiem Towarzystwa może być każdy bez różnicy płci i wyznania; obowiązkiem członka jest składka roczna, najmniej 1 zł. reń. wynosząca, którą uiszczają można rocznie, lub kwartalnie i miesięcznie; wkład miesięczny najmniej 10 centów (15 groszy). Przytem obowiązuje członków posłuszeństwo nakazom towarzystwa w udziale zajęć, które stanowią cel towarzystwa. Każdy członek ma prawo bywać na zgromadzeniach towarzystwa, ma prawo głosu przy rozprawach i uchwałach, oraz prawo wyboru i wybieralności do wydziału, zarządzającego działaniem towarzystwa, oraz do kommissyi kontrolującej, czyli rachunkowej, która składa się z trzech członków.

Towarzystwo uznaje się za zawiązane, skoro liczyć będzie członków 100, obecnie wybrano tymczasowo: na przewodniczącego towarzystwu D-ra Weigla przez głośną aklamacyą, a za pośrednictwem kartek zarząd, składający się z 12 członków, między którymi są: Anczyk Wł., Asnyk Adam, Bartoszewicz Kazimierz, Romanowicz współredaktor *Reformy*, Szwarz Emil redaktor *Gazety Krakowskiej*, oraz Felix Czesznak, adwo-

kat, Dadlez Wilhelm, obrońca, Getlich, dyrektor żeńskiego seminaryum, zwanego szkołą S-tej Scholastyki, Jabłoński, dyrektor seminaryum męskiego, Maciołkowski dyrektor szkoły ludowej, Zarański, Żółtowski Ignacy.

Podobne towarzystwo oświaty ludowej istnieje już we Lwowie, a obecnie zawiązuje się w Stanisławowie i Przemyślu.

Zjazd przyrodników i lekarzy czeskich odbędzie się w Pradze w czasie Zielonych Świątek; otwarty w d. 27 Maja, trwać będzie do 30; rozprawy toczyć się będą w dwóch językach: czeskim i polskim. Zjazd podzielony będzie na cztery wydziały lekarski, matematyczny, przyrodniczy i pedagogiczny.

Światło elektryczne. Takim jest tytuł dzieła dwóch francuzkich autorów: Alglave i Boulard, zawierające historią, produkcją i użycie światła elektrycznego, mieści w sobie ciekawe spostrzeżenia, czem ono być może dla rozwoju cywilizacyi. Rozpowszechnienie działań elektrycznych — piszą autorowie książki — nie zawiera się jedynie w pożytkach, które przyniesie może przemysłowi: ma ono niezmiernie wyższe znaczenie społeczne, bo nikt nie wie dziś jeszcze, jak dalece może ono wpłynąć na zmianę stosunków ekonomicznych naszego czasu. Skupianie się pracy przemysłowej w ogromnych fabrykach parowych, gdzie robotnik traci całą swą indywidualność i siłę pomysłowości, jest smutnym i koniecznym skutkiem motorów mechanicznych, gdyż małe motory parowe są za kosztowne, i ztąd praca w warsztatach domowych jest w obecnej chwili niemożliwością. Elektryczność, przeciwnie, może być zastosowaną bez nakładów zbyt znacznych, do użycia jej najskromniejszego; może być wprowadzona na poddasze najuboższego rzemieślnika, za pomocą takiego drutu, jak dzwonek i przez jednostajność siły (unité de force) może poruszać, niemal za taką samą cenę, najmniejszą maszynę do szycia, jaknajpotężniejszą dźwignię fabryczną. Poruszenie kurka może w każdej chwili wydzielić nam, według żądania, ilość potrzebnej siły, zmniejszyć ją lub zwiększyć, wreszcie zahamować zupełnie, skoro robota staje, i to bez żadnej dla nikogo straty. Autorowie francuzcy sądzą, że ogólne rozpowszechnienie siły elektrycznej, jest tylko kwestyą czasu, przypuszczając, że pokolenie, idące po nas, tak nas żałować będzie z powodu używania pary i gazu oświetlającego, jak my żałujemy przodków naszych, że musieli ograniczać się do świec i jeździć karetami pocztowymi. Książka, z której czerpiemy te szczegóły wyszła świeżo w Paryżu w świetnym wydaniu z 182 rycinami (*La lumière électrique*, par MM. Boulard et Alglave. Didot. Paris. 1882).

Sprostowanie.

W Nr 14 *Bluszczu*, na kolumnie 112, w łamie 3, wierszu 6 od dołu, zamiast „w T. I“, czytać należy „w Tomie II“.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się dokończenie powieści pod tyt.: **Stoczona walka.**

TREŚĆ. Z życia. — Na Bialskim Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. L. Kraszewskiego. — Z Petöfi'ego „Nocy bez gwiazd“, (poezya), przez M. I. — Korrespondencya zagraniczna, (Wiedeń). — Nowiny paryżkie. — Drobne listki.